Rok I. *Zeszyt I.*

MODERATOR

Kwartalnik wyłącznie poświęcony dla Księży Kierowników Sodalicyj Marjańskich

Styczeń — Marzec 1929

Wydawnictwo Księży Jezuitów, Kraków, Kopernika 26

WARUNKI PRENUMERATY.

„Moderator“ wychodzić będzie w styczniu, marcu, czerwcu i październiku każdego roku, w objętości około 2 arkuszy druku.

Prenumerata całoroczna wynosić będzie wraz z przesyłką w kraju 4 zł., zagranicą 6. zł. — Cena pojed zeszytu [redacted] Zł. 1·20

Ważne dla Księży Moderatorów.

Poważną troską Księży Moderatorów jest przygotowanie przemów na nabożeństwa i zebrania, oraz dostarczanie materjału na referaty sodalisom. By w tej pracy przyjść z pomocą, przygotowaliśmy Spis treści 25 pierwszych roczników sodalicyjnego pisma: „Sodalis Marianus“, który już jest w druku i niebawem się ukaże. W rocznikach bowiem Sodalisa pozbierało się sporo gruntownego i pięknego materjału, który się odnosi zarówno do spraw sodalicyjnych jak i ogólno-religijnych. Korzystanie z niego jest jednak bardzo utrudnione z powodu braku spisu treści. Obecnie trudność ta została usuniętą! Spis nasz zawiera obok wykazu autorów, szczegółowy rzeczowy spis treści artykułów, zgrupowanych jasno i przejrzyście wedle kilkunastu głównych działów, podzielonych na poddziały i drobniejsze nawet zagadnienia. — Prosimy zaraz zamawiać, ponieważ nakład bardzo ograniczony. Spis obejmuje 7 arkuszy druku. Cena 2·50 zł.

Redaktor i wydawca: *Ks. Jan Rostworowski T. J.*

SŁOWO WSTĘPNE.

Kwartalnik dla Księży Moderatorów Sodalicji, którego pierwszy zeszyt nieśmiało puszczamy w świat, zakłada sobie następujące trojakie zadanie:

Na pierwszem miejscu chce on przynosić artykuły ogólniejsze z dziedziny ascetyki czy duszpasterstwa, ale w zastosowaniu zawsze do Sodalicji marjańskiej.

Powtóre będzie zamieszczał drobne artykuły odnoszące się bądź do teorji, bądź do praktyki sodalicyjnego życia.

Po trzecie wreszcie w każdym zeszycie poda pewną liczbę czy to całkiem gotowych sodalicyjnych przemówień, czy obszerniejszych szkiców lub referatów.

Poza temi trzema stałemi działami bardzobyśmy radzi byli widzieć w każdym zeszycie coś w rodzaju »Skrzynki pocztowej« na pytania, propozycje, odpowiedzi i wogóle wymianę myśli łaskawych Księży czytelników.

Mówimy tylko o »Księżach« czytelnikach, bo chcemy niezłomnie trzymać się tej zasady, że pismo nasze samym tylko Moderatorom będzie dostępne. Jedyny wyjątek robimy dla wyższych kursów seminarjów duchownych, których alumni na przyszłych moderatorów się kształcą. Prosimy usilnie Księży Prenumeratorów, żeby ze względu na własny i sprawy interes, nie puszczali tego pisma w koła swych sodalisów i sodalisek.

Ponieważ pismo nasze z natury rzeczy na bardzo szczupłą liczbę abonentów liczyć może — dotychczas zgłosiło się ich tylko kilkudziesięciu — nawet przy prenumeracie czterech złotych rocznie, jaką oznaczamy, żadną miarą nie pokryjemy kosztów wydawnictwa. Tem bezpieczniej i tem usilniej prosimy o współpracę, t. j. o łaskawe nadsyłanie

nam materjału nadającego się do jednego z wyżej wymienionych działów. Przedewszystkiem wdzięczni będziemy za sodalicyjne nauki i przemówienia, które z wielkim pożytkiem księży współbraci, mogą wydobyć na jaw dużo dobrego materjału, bezużytecznie leżącego po teczkach i zeszytach.

Niniejszy zeszyt wysyłamy jako okazowy wszystkim Księżom Moderatorom, nawet tym, którzy nie zgłosili się do prenumeraty, prosząc jednak, żeby byli łaskawi go zwrócić Administracji, jeśliby abonować nie mieli zamiaru.

Nie pozostaje nam wkońcu nic więcej do życzenia, tylko żeby i na naszem nieśmiałem przedsięwzięciu spełniła się treść sodalicyjnej prośby:

»Nos cum Prole pia benedicat Virgo Maria«.

Kraków, w styczniu 1929.

Ze świata i dla świata dusz

„Znaki czasu“.

Konkretna rzeczywistość dziejowa jest tak niezmiernie bogata w różnorodne szczegóły i tak nad miarę ruchliwa w falującym bez ustanku swym biegu, że jest bardzo a bardzo trudno wyrobić sobie objektywny pogląd nie tyle na pojedynczy, ściśle określony w czasie i przestrzeni, fakt historyczny, ile na pewien nastrój, czy stan duchowy, czy też kierunek umysłów lub serc w danej chwili. Stąd pochodzi, że na takie np. pytania: czy demokratyzacja świata postępuje jeszcze, czy się już cofa? czy socjalizm traci już grunt pod nogami, czy go jeszcze zyskuje? czy ogólna moralność dźwiga się w górę, czy też spada — otrzymuje się, nawet od bystrych umysłów, bardzo a bardzo rozbieżne odpowiedzi. Każdy prawie sądzi wedle tej małej cząstki rzeczywistości, która ciasne pole jego własnej obserwacji zapełnia; niejeden nie może całkowicie wyeliminować z oceny objektywnych zjawisk swych własnych subjektywnych nastrojów, które optymizmem czy pesymizmem, sympatją czy odrazą zabarwiają niejako jego władze poznawcze. Dopiero kiedy z biegiem czasu, koło jednego jakiegoś twierdzenia, coraz więcej i więcej zacznie się grupować faktów, szczegółów, spostrzeżeń, nieraz zresztą drobnych i niewiele zosobna mówiących, zaczyna, najpierw w umysłach ludzi bystrych i głęboko patrzących, potem i w umysłach pospolitszych, formować się niewątpliwy już sąd: rzeczy biorą taki a taki obrót; ten lub ów ruch umysłowy zaczyna odbywać się w takim a takim kierunku.

Umiejętność spostrzegania takich »znaków czasu« i oceniania wedle nich epok dziejowych jest podług nauki Chrystusowej ważną i potrzebną cząstką mądrości chrześcijańskiej. Bo czyż Zbawiciel nie każe uczyć się podobieństwa

raz od drzewa figowego, które młode liście wypuszcza (Mt. 24, 31) inny raz od pól bielejących, które zwiastują bliskie żniwo? (Jan 4, 35). A gdzieindziej jeszcze czy nie mówi całkiem już wyraźnie i zasadniczo, że można i powinno się sądzić o czasach, jak się sądzi o deszczu lub pogodzie z czerwieniącego się rano lub wieczorem, nieba? *Postawę tedy nieba rozsądzić umiecie, a znaków czasu nie możecie?*« (Mt. 16, 2—4).

Jakkolwiek w obecnej chwili, dla osądzenia tej epoki, w jakiej żyjemy i tej, która na horyzoncie już świta, dużo jest różnych »znaków czasu«, które w rozmaitych kierunkach wiele nauczyć nas mogą, pragnę tu omówić jedną tylko ich kategorję, odnoszącą się do sfery religijnej. A to nietylko dlatego, że ta sfera, jak jest ze wszystkich w świecie najważniejszą, tak specjalnie najdonioślejszą jest dla nas, ale i dlatego, że w żadnej innej sferze nie jesteśmy świadkami tak potężnego, wprost żywiołowego ruchu.

Żeby na wstępie krótko streścić myśl, którą pragnę tu rozwinąć, by wyprowadzić z niej i dla sodalicyjnego życia doniosłe wnioski, sądzę, że żyjemy obecnie w przełomie religijnym tak głębokim, jak niewiele ich widziała historja. Treścią zaś tego przełomu jest fakt, że zupełnie wyraźnie kończy się długa epoka dziwnej martwoty i oschłości religijnej, a nastaje niesłychanie intensywne odrodzenie w całej sferze stosunku ludzkości do Boga. Pomimo wszystko, co zdaje się dzisiaj dziać się nietylko źle, ale coraz gorzej, pomimo najróżniejszych falowań linji duchowego postępu, czuć niemylnie, że nie »w ciemnie się zanurzamy, ale w zorze«, że nie w dół schodzimy, ale dźwigamy się ku górze. Gdyby wolno było stosować do tego, co dzieje się dzisiaj słowa Pieśni nad Pieśniami, miałoby się ochotę powiedzieć, że »*zima już minęła, deszcz przeszedł, a ukazały się kwiatki na ziemi*« *(11, 12).*

Bo przedewszystkiem zdajmy sobie tylko sprawę, co działo się dotąd.

Złożyły się na to bardzo różne przyczyny, ale faktem jest, że od końca piętnastego wieku zaczęło się na ogromną skalę i na olbrzymim froncie, rugowanie Boga i chrześcijaństwa z całego życia ludzkości. Humanizm, reformacja,

teoretyczny i praktyczny zwrot umysłów ku jednostronnemu badaniu i wyzyskiwaniu sił natury, absolutyzm panujących a potem demokratyczne ruchy ludów, przeróżne kierunki fałszywej filozofji — to wszystko i wiele jeszcze innych rzeczy wpłynęło na to, że nieskończony Bóg, Stwórca świata i Ten, któremu dana jest *wszelka władza na niebie i na ziemi*, Pan nasz Jezus Chrystus, zaczął już tracić ostatki miejsca w ludzkich umysłach i sercach, w instytucjach i całym trybie ludzkiego życia. Bo chociaż trzymały się jeszcze w dość wielu duszach prostych pewne wierzenia wraz z pewną liczbą — nie wolnych od rutyny — praktyk, gdzież był Bóg i Chrystus w tych umysłach, które ostatecznie zawsze muszą ton nadawać światu, w duszach ludzi bardziej inteligentnych i głębiej wykształconych? Doprawdy zdawało się bez przesady, że »Bóg umarł w mędrców duszy«, bo nie było go prawie ani śladu czy w wielkiej polityce, czy w literaturze i sztuce, czy na rynkach ekonomicznych i społecznych interesów, czy na tych niezliczonych drogach i ścieżkach, po których snuje się nieprzerwanym szeregiem codzienna procesja ludzkich żywotów. Kiedy jeszcze 40 lat temu, po Straussie, Renanie, Häcklu i t. p. umysł myślącego człowieka rozglądał się po duchowym świecie, widział naokoło siebie horyzont nieomal beznadziejny. Myśli i dążenia ludzkości grzęzły prawie powszechnie w grubym materjaliźmie, ideał religijny i etyczny był czemś, na co można było tylko ruszać ramionami lub pobłażliwie się uśmiechać, Kościół anemiczny, opuszczony przez inteligencję, odgrodzony od życia i świata, ledwie cicho i bojaźliwie mógł się przesuwać po brzegach dróg życia, wszystkie wielkie problemy myśli i czynu były w taki sposób postawione, że Bóg i wogóle niewidzialny świat wiary, nigdy już, zdawać się mogło, nie odegrają żadnej roli w ich rozwiązaniu. Niejeden z tych, którzy dzisiaj pół wieku życia pozostawili za sobą, przypomni sobie te bolesne, upokarzające wrażenie lat młodych, gdy czuło się tak dotkliwie jakby »niższość« katolicyzmu w świecie myśli, gdy można było trzymać się wiary i cnoty jakby rozpaczliwym tylko i nieomal beznadziejnym wysiłkiem.

Tak było i zdawało się, że tak na zawsze pozostanie,

a tymczasem cóż się stało? Jak kiedy wiosna nadchodzi, zaledwie zginą lody i śniegi, w łonie niestrudzonej żywicielki ziemi zaczyna kipieć i wrzeć nowe życie, tak w całej ogromnej religijnej dziedzinie, naturalnie że przedewszystkiem w Kościele katolickim, ale także i w wielu innych wyznaniach, zaczął się ruch, który równego sobie nie miał może od tych pierwszych wieków, w których zaczęła szerzyć się po świecie »dobra nowina«. Czy to był daleki wpływ watykańskiego soboru, czy owoc świateł i impulsów, jakie rzucili na świat Leon XIII i Pius X, czy poprostu był to nowy, niesłychanie potężny przypływ łaski niebieskiej — w przeróżnych kierunkach duchowego życia dało się spostrzec niebywałe odrodzenie. Jedne rośliny prędzej, inne powolniej strzelały w górę, ale wszystko razem biorąc, nie można zaprzeczyć, że wygląda dziś w Kościele, jak wygląda w naturze wśród bujnej, ciepłej, pełnej nadziei, wiosny.

Dokładnie opisywać całej tej przemiany, która doprawdy *od Pana się stała, a jest dziwna w oczach naszych* w krótkim artykule niepodobna. Zestawimy jednak całkiem sumarycznie niektóre jej momenty, tak wiele mówiące, że każdy z nich zasługiwałby na bardzo szerokie omówienie.

I tak przedewszystkiem, żeby zacząć od samej organizacji kościelnej, można śmiało powiedzieć nietylko to, że żadna epoka chrześcijańska nie widziała tak szeroko i tak wspaniale rozpiętej sieci biskupstw i przeróżnych katolickich instytucyj, ale żadna też nie była świadkiem tak niezmiernej zwartości hierarchji i skupienia jej około Opoki Piotrowej. Prawda jest, że przyczyniają się do tego w wysokiej mierze nowoczesne środki komunikacyjne, żeby stosunki wzajemne biskupów i związek ich z Głową ułatwić, ale obok tych zewnętrznych czynników działają też inne, wewnętrzne, na pierwszem miejscu niebywała gorliwość następców św. Piotra i ogromne przywiązanie, jakie zdobyła sobie Stolica Apostolska. Jeżeli już temu lat 30 pisał O. Marjan Morawski, że Kościół szereguje się i skupia, jak regiment pruski, to dziś, po wprowadzeniu nowego Kodeksu i przy panującym obecnie nastroju umysłów, jest to prawdziwe w daleko wyższym stopniu.

A za tem wzmocnieniem organizacji idzie rozmach mi-

syjny, tak nieprawdopodobnie wielki, że napełnia zawsze nowem zdumieniem. Nie chcę tu już wymieniać olbrzymich i niesłychanie śmiałych wysiłków, podejmowanych dla pozyskania schizmatyckiego Wschodu. Dla samych misyj zamorskich w najściślejszym tego słowa znaczeniu robi się nad wyraz wiele. Z jednej strony na front misyjnej roboty ruszają zewsząd nieprzeliczone rzesze misjonarzy, z drugiej, na froncie wewnętrznym, przez szkoły apostolskie, stowarzyszenia, kongresy, przeliczne pisma i książki, mobilizuje się wszystkie siły, by pracującym braciom dopomagać groszem, modlitwą i wszelkim rodzajem ofiary. Idea misyjna przeniknęła tak potężnie wszystkie nieomal warstwy wiernych, że kipi od niej i wre w Kościele, a znów metoda misyjna, przez lepsze stosowanie się do warunków miejscowych, przez zakładanie szkół, także wyższych, przez pomoc kontemplatywnych zakonów na misyjnych terenach, a szczególnie przez święcenie krajowych kapłanów i biskupów tak ogromne zrobiła postępy, że rokuje jaknajlepsze na przyszłość nadzieje.

Siła wszakże ekspanzji zewnętrznej tem tylko się tłumaczy, że sama dusza Kościoła jest w tej chwili przepełniona najwyższem nadprzyrodzonem życiem. Kiedyż był tak żywy, jak dzisiaj, kult Eucharystji, która przez częstą Komunję św. cudownie odnawia serca wiernych, a przez niezliczone wystawienia, adoracje, kongresy całe miljony kolan i serc zgina w pokłonie przed utajonym Bogiem? Kiedyż był czas, choćby zdaleka podobny do naszego, pod względem poszukiwania sposobności do skupienia i samotnego przebywania z Bogiem? Nie mówię tu o rosnącej w zawrotnem tempie liczbie powołań i całych zgromadzeń zakonnych, nie mówię też o niezliczonych rekolekcjach otwartych. Ale czy to nie jest zdumiewające, że jest np. nie mniej niż 196 domów dla rekolekcyj zamkniętych w samych Niemczech, że ich jest około 100 we Francji, a że podobne cyfry możnaby zebrać dla Holandji, Belgji, Szwajcarji, Włoch, Hiszpanji, Anglji, Ameryki i prawie wszystkich krajów, stwierdzając przytem, że te domy odnowienia duchownego bynajmniej nie stoją pustką, ale wypełniają się ciągle na nowo tą materją ludzką, która przerabia się w nich na nowy zaczyn?

A któż przeliczy ilość pism religijnych i katolickich? Któż oceni olbrzymi ruch na polu teologicznych badań, ruch, który np. w katolickiej Francji już dawno pozostawił w tyle słynną wiedzę niemieckich protestanckich uczonych? Któż wreszcie obroni się zdumieniu wobec niebywałej liczby dusz świętych, które wysokością swych wzlotów i całkowitością swego oddania Bogu, przypominają najświetniejsze epoki dziejów Kościoła? Doprawdy ma się wrażenie, nietylko że nigdy nie było tyle świętych, ale że całe ich pożycie duchowe z Panem Jezusem wchodzi na tory nieznanej przedtem poufałości, zaufania, dziecinnej prostoty, tak jak zresztą sama teorja ascetyczna współżycia ze Zbawicielem doczekała się w tym czasie nowych i bardzo głębokich oświetleń.

A jako konkretny owoc tego nadprzyrodzonego życia dokonało się kilka rzeczy w najwyższym stopniu pocieszających, a niespodziewanych. Przedewszystkiem skończył się prawie zupełnie okres, w którym co tęższe umysły czuły się nieomal w obowiązku dezercji od Kościoła i wiary. Dziś dzieje się całkiem przeciwnie. We wszystkich krajach świata całe gromady konwertytów i to należących w wielkiej mierze do elity umysłowej swych narodów, wracają do Boga, Chrystusa i katolickiego Kościoła. Wracają z indyferentyzmu albo głębokiego moralnego upadku, wracają z protestantyzmu różnych denominacyj, albo ze schizmy, wracają z judaizmu, albo ze starych wschodnich religij, a kiedy raz znajdą się w przystani prawdy, wydobywają ze serca takie przeczyste tony wdzięczności i miłości swego Stwórcy, że te niezliczone dzisiaj wyznania nawróconych składają się na jakąś potężną, drgającą życiem i świeżością, apologję wiary, skuteczniejszą nieraz niż długie abstrakcyjne wywody.

A powtóre młodzież! Kto kiedy myślał temu lat 30, że znajdą się nie dziesiątki, ale dziesiątki tysięcy młodych, którzy nietylko zdobędą się na jakąkolwiek wiarę, ale będą wierzyć w sposób płomienny i dziecięco prosty, którzy będą codziennie garnąć się do Stołu Pańskiego, którzy będą najściślej współżyć z Kościołem i dla niego mężnie walczyć, którzy zachowają aż do małżeństwa zupełną czystość i będą tej czystości gorliwymi apostołami? Ktoby był myślał, że to możliwe, a przecież stało się to nie możliwem tylko, lecz

rzeczywistem. Niezliczone są zastępy tej młodzieży tak we Francji i Belgji, jak w Hiszpanji i Włoszech, jak w Niemczech, na Węgrzech i po całym szerokim świecie, aż do tego Meksyku włącznie, gdzie zapał młodych dosięgnął szczytów krwawego męczeństwa. Kto pamięta tę samą młodzież przed laty jeszcze trzydziestu, tak okropnie przygiętą do ziemi, tak zmaterjalizowaną i tak beznadziejnie smutną, ten doprawdy stanie głęboko zdumiony wobec takiej np. apostrofy do obecnych tam kapłanów, wypowiedzianej w r. 1925 przez młodego człowieka na jednym z kongresów francuskiej młodzieży: »Nie bójcie się od nas żądać wiele, nasi duchowni Ojcowie, bo wierzcie, że serca nasze rozpierają ogromne pragnienia; my chcemy być wiernymi Bogu aż do świętości«. A jeden z najpierwszych duchownych przewodników młodzieży naszych czasów dodaje śmiało: »Ja wiem, że tej młodzieży, która nie chce niczego mniej niż świętości są dziś tysiące«.

Czy wobec tego wszystkiego dziwić się jeszcze, że Kościół, ta stara i dziwnie rozważna, ale też bardzo czujna matka ludzkości, że ten Kościół widząc, co dzieje się w duszach, wysuwa śmiało naprzód ideę i święto Chrystusa Króla?

Tak jest! Kościół poznaje się na »znakach czasów«. On widzi, że minęła, może już bezpowrotnie, epoka, w której wiara i praktyka wiary wstydliwie gdzieś chodziła uboczami ludzkiego życia. On wie, że dziś w duszy świata coraz większa potrzeba Chrystusa i coraz większa gotowość poddania się pod Jego prawa i dlatego bezpiecznie powtarza: *oportet eum regnare*, głosząc i zapowiadając, że musi on zapanować wszędzie i we wszystkiem, od parlamentów aż do ognisk rodzinnych, od najwyższych stolic wiedzy, aż do ubogich warsztatów, od dziedzin sztuki i literatury, aż do pól tej pracy, która w ciężkim trudzie wyrabia chleb powszedni. I jeśli wszystko nie myli, ku urzeczywistnieniu tego królestwa idziemy. Robert Hugh Benson, kiedy w głośnej powieści »Pan świata« skreślił przypuszczalny, nader smutny obraz przyszłości religijnej ludzkości, bardzo słusznie poprawił potem swe horoskopy i poszedł śmiało po tym szlaku

myśli, który poprowadził go aż do promiennej wizji »Brzasku wszechrzeczy«.

A gdyby można było na tem miejscu, czego niestety szczupłość ram zakreślonych temu artykułowi nie dopuszcza, zwrócić się od Kościoła katolickiego do innych chrześcijańskich a nawet i niechrześcijańskich wyznań, wszędzie ujrzelibyśmy zdumiewające rozbudzenie religijnych sił i dążeń. Owa wiara w Boga i życie przyszłe, która jeszcze kilkadziesiąt lat temu skazana była, zda się, na nieodwołalną zagubę, nagle potężnie odżyła i wysunęła się na czoło preokupacyj serc i umysłów. Całe miljony ludzi, skąd inąd jeszcze błądzących w poszukiwaniu prawdy, podpisałoby te słowa Rabindranata Tagore: »Jak stado powracających żórawi dzień i noc leci ku swym górskim gniazdom, tak pozwól, by życie moje całe dążyło ku wiecznej ojczyźnie«.

Lecz jakaż z tego wszystkiego konkluzja, a praktyczna konkluzja dla sodalicyjnej pracy?

Jest ich kilka, nietylko jedna, i to bardzo doniosłych.

Przedewszystkiem, że trzeba sodalicje utrzymywać w pewnym zdrowym duchu optymizmu i rozszerzenia serca. Dziś bowiem doprawdy niema powodu do jakiejkolwiek małoduszności i przygnębienia. Dziś można mieć pełną i na dobrych podstawach opartą świadomość, jak to mówił prorok swemu słudze, że *więcej ich jest z nami, niż z nimi* (4 Król. 6, 16), t. j. więcej tych, co Boga miłują albo przynajmniej szukają, niż tych, co od niego odchodzą. »Kto tylko umie patrzeć«, tak mówił u nas niedawny konwertyta, wielki, genjalny Chesterton, »ten jasno widzi, że przyszłość świata należy tylko do katolickiego Kościoła«.

Ale powtóre, żeby ten optymizm, który niezmiernie ułatwia tak wewnętrzną, jak zewnętrzną sodalicyjną pracę, mógł opierać się na rzeczywistych, objektywnych podstawach, trzeba koniecznie utrzymywać sodalisów w kontakcie z szerszem życiem Kościoła i z religijnem życiem wierzącego Zachodu. Smutną właściwością naszego kraju jest, że dużo prędzej dochodzą do nas złe niż dobre nauki i przykłady zachodniej Europy. Miewamy dokładne wiadomości o paryskich modach i skandalach, a nic o tem nie wiemy, że katolicka Francja cudów bohaterstwa dokazuje w hojności

na religijne cele, albo że tysiące i tysiące młodzieży najwyższych paryskich uczelni co roku, nieraz z profesorami na czele, do Stołu Pańskiego przystępuje. Otóż koniecznie trzeba i samemu Moderatorowi o tych rzeczach czytać, aby móc o nich opowiadać i do czytania w tym kierunku zachęcać. Nie można patrzeć ciągle tylko w swoje własne, nieraz smutne podwórko. Orjentacja w tem, co robią inni dodaje odwagi, do zdrowej emulacji pobudza, niejedną nauką wzbogaca, której nie udałoby się nabyć własnem doświadczeniem.

A wreszcie po trzecie, dobrze zrozumiane te »znaki czasu« nauczą, że skalę wymagań od dusz sodalicyjnych można dziś nieco podnieść. W czasie tej smutnej posuchy duchownej, jaka panowała powszechnie jeszcze poza lata ośmdziesiąte tamtego wieku, można było na tem poprzestać, że od zebranych z wielką biedą sodalicyjnych drużyn żądało się tylko zachowania zasadniczych obowiązków katolickich i kilku conajwyżej komunij świętych corocznie. Takie pojęcia byłyby dziś śmiesznym anachronizmem. Dziś trzeba mówić z całą jasnością: Zbieracie się, żeby być doskonałymi, żeby w możliwie najpełniejszej mierze realizować ideał chrześcijańskiego życia, żeby naprawdę odznaczyć się w służbie Bożej nietylko cichą pobożnością, ale czynem apostolskim i ofiarą. I do tego trzeba wskazywać sodalisom odpowiednie środki: modlitwę myślną, zamknięte rekolekcje, codzienną Komunję św., rzeczywiste umartwienie. Ten sam młody francuski mowca, którego słowa do kapłanów cytowaliśmy wyżej, mówił równie śmiało do swych rówieśników, towarzyszy w związkowej pracy: »Biada nam, młodym katolikom, jeśli chcemy być elitą, a nie nauczymy się rozmyślać«.

I nie trzeba się obawiać, że takie zwiększenie wymagań odstraszy. Ono owszem przyciągnie, bo siła zawsze przyciąga. A jeśli ten podmuch coś odmiecie, to będą to tylko plewy. Żarzące węgle potężniej on rozpłomieni.

Ale nakoniec nie ulega to najmniejszej wątpliwości, że prowadzenie Sodalicji na rzeczywiste duchowe wyżyny dużo żąda od samego Moderatora. On musi nietylko znać współczesne duchowe życie, ale do głębi niem się przejąć. On musi być z tych kapłanów. Bogu dzięki dziś tak licznych, którzy

sami, w swym własnym stosunku do Boga weszli już na to wyższe, jeśli tak wolno powiedzieć, piętro duchowne, na jakie dźwiga dzisiaj Chrystus wybrane swe dzieci.

Ostatni ten wniosek i warunek zarazem jest podobno najważniejszy ze wszystkich. O tyle tylko nie zawiodą nas »znaki czasu«, jakie krótko spróbowaliśmy tu scharakteryzować, o ile nie zabraknie na czele wiernych, a specjalnie na czele Sodalicyj, świętych, gorliwych, Bogu i Chrystusowi całą duszą oddanych kapłanów. Bo nie da się nigdy rozerwać logiczny związek stwierdzony przez Proroka. Najpierw musi się spełnić: *Inebriabo animam sacerdotum pinguedine*, a potem dopiero: *populus meus bonis meis adimplebitur, dicit Dominus.* (Jer. 31, 14).

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Z teorji i praktyki sodalicyjnej

Na czem polega właściwa trudność zebrań sodalicyjnych?

Że ta trudność rzeczywiście istnieje, i to w stopniu dość poważnym, to nie ulega wąpliwości. Przyznaje się ze skargą wielu Księży Moderatorów, że nie bardzo wiedzą czem zebrania zapełnić, częściej jeszcze dochodzą żale z kół sodalicyjnych, że zebrania są puste, nudne, że mijają bez prawdziwego pożytku. Warto tedy naturę tej trudności nieco głębiej zanalizować i wskazać na nią właściwe środki zaradcze.

Jest rzeczą bardzo dobrze znaną i łatwo zrozumiałą, że każdy zawód wyrabia, jak pewne nałogi myślowe, tak też pewne stereotypowe sposoby działania. Takie sposoby i formy działania wyrabia i zawód kapłański. Ponieważ zwykłym sposobem kapłańskiego zetknięcia się z wiernymi jest bądź funkcja sakramentalna, bądź ściśle wzięte słowo Boże, głoszone w kościele i z kościelnym aparatem, bądź formalny wykład religji w szkole, bądź wreszcie ten lub ów rodzaj pracy społecznej, całemu szeregowi księży na terenie zebrania sodalicyjnego jest jakoś nieswojo, bo ono do żadnych z wyżej wspomnianych pól pracy nie jest podobne. Nie odbywa się ono w kościele i nie ma nic z akcesorjów kościelno-kapłańskiego występowania; nie jest ani kazaniem, ani lekcją religji; mimo pewnych analogij jest czemś głęboko różnem od każdego zebrania ekonomicznych czy oświatowych, czy nawet charytatywnych stowarzyszeń. Zebranie sodalicyjne ma poprostu pewien swoisty swój styl i żąda od moderatora także pewnego stylu, w który trzeba niejako się włożyć. Nie powinno w tym stylu przejawiać się ani trochę kaznodziejskiego patosu; nie jest też na miejscu pewien ton uroczysto-kościelny albo peremptoryczność profesora: niewłaściwa byłaby pewna świecka swoboda. Potrzebny jest nastrój, na który składa się łagodna ojcowska powaga, towarzyska uprzejmość i dobroć, pełna delikatności i dobrego wychowania, wyższość wreszcie intelektualna nauczyciela, który nie formalnym, autorytatywnym wykładem, ale swobodną

pogadanką oświeca i rozwija. Dobre przewodniczenie zebraniu jest więc pod wielu względami trudniejsze niż przemawianie z ambony albo ze szkolnej katedry. Wymaga ono dużo taktu, dużo panowania nad sobą, dużo umiejętności duchownego, ale zarazem towarzyskiego, przestawania z bliźnimi, mocą samych osobistych przymiotów i zasobów. Ponieważ występuje się na zebraniu bez tego rynsztunku i bez tej pomocy, jaką jest ornat czy kapa, albo przynajmniej stuła i komża, kto potrafi rzeczywiście poważnie a łagodnie i z pożytkiem zebraniu przewodniczyć, ten zdaje nie lada egzamin, bo daje dowód, że w sobie samym nie w zewnętrznych dodatkach ma zasoby potrzebne do nowożytnej, kulturalnej kapłańskiej roboty.

Ale powtóre, rzecz prosta, że nie da się dobrze przewodniczyć zebraniu bez dosyć znacznej sumy intelektualnych danych.

Wychodząc z założenia, że celem zebrań jest w pierwszym rzędzie wyrabianie jasnych katolickich pojęć nietylko o samych dogmatach wiary, ale o całej tej dziedzinie, w której nauka objawiona graniczy z życiem przyrodzonem ludzkości i na to życie kształtująco wpływa, musi Moderator być dobrze obeznany nietylko z teologją dogmatyczną i moralną, ale też z różnemi działami filozofji, zwłaszcza etyką i socjologją, z całym wreszcie ruchem umysłowym naszych czasów. A o tem wszystkiem trzeba mieć pojęcia nie czysto szkolne, ujęte w precyzyjne, ale niezrozumiałe dla świeckich, abstrakcyjne wyrazy, lecz przeciwnie, pojęcia dostosowane do sposobu myślenia, jaki te lub owe środowiska sodalicyjne wynoszą czy to ze szkół średnich, czy wyższych, czy też ze zwykłych kierunków swej lektury. Wobec tego jest rzeczą jasną, że zebrań w inteligentniejszych Sodalicjach dobrze prowadzić nie można, jeśli samemu nie jest się w kontakcie z ruchem umysłowym świata przez dość obszerne i dobrze dobrane czytanie.

Oprócz wiedzy oczywiście potrzeba też pewnej wymowy, t. j. talentu oddania w odpowiedniej formie tego, co się posiada; potrzeba tej werwy czy tego nerwu, który potrafi zrobić wykład zajmującym i żywym; potrzeba wreszcie choć w niejakim stopniu posiadać ważną umiejętność kierowania dyskusją, rozróżniania prawdy od fałszu, reasumowania, wyciągania ostatecznych wniosków.

Każdy widzi, że to są przymioty bynajmniej nie pospolite, a do dobrego przewodniczenia sodalicyjnym zebraniom koniecznie potrzebne. Do niektórych z nich trzeba mieć poprostu przyrodzone talenty, inne, liczniejsze można w sobie wyrobić, ale nie bez rzetelnej pracy. Moderator, który tej pracy nie chce dołożyć, po niedługim czasie albo zrobi

z zebrań sodalicyjnych coś zgoła innego, z czem lepiej jest obeznany, ale, co celowi nie odpowiada, albo też zniechęci się, zaniedba i wpuści tem samem do sali zebrań złowrogiego ducha bezmyślności i nudy.

Chcąc z kolei rozważyć, w jaki sposób można i trzeba z trudności, właściwych sodalicyjnym zebraniom wyjść zwycięsko, musimy najpierw powiedzieć słów kilka o nieodpowiednich sposobach schodzenia tym trudnościom z drogi.

Pierwszym takim sposobem jest wygodne, ale zupełnie niewskazane przerzucanie duchownej nauki z nabożeństwa na zebranie. Podczas nabożeństwa czy to rannego czy popołudniowego nie mówi się nic, a natomiast całą tę naukę, jaką miałoby się powiedzieć od ołtarza, mówi się w nieco zmienionej formie na zebraniu.

Otóż tak być żadną miarą nie powinno. Sodalicji należy się i jedno i drugie, t. j. i nauka duchowna i rozwijający po katolicku wykład, ale miejscem na pierwszą jest tylko kaplica w czasie nabożeństwa, miejscem na drugi jest sala zebrań, podczas ogólnych posiedzeń. Odebrać Sodalicji jedno z tych ćwiczeń to jest tyle, co odebrać jej jedno skrzydło, i to dziś niesłychanie potrzebne. Nie można tu chcieć iść po linji mniejszego oporu, t. j. poprzestawać na tej czysto duchownej nauce, która wielu Moderatorom łatwiej i jakby bardziej swojsko przychodzi. Nie można — bo to jest właśnie sposób wyrabiania czystych dewotów, dla których jedyną formą służenia Bogu jest spokojna modlitwa i pełnienie pewnych praktyk pobożnych. Dziś jest tak niepojęcie potrzebnem, zwłaszcza u nas w Polsce, kształcenie zdrowych i silnych katolickich poglądów, wyrabianie przekonań, praktyczne wskazywanie możliwych w prywatnem i publicznem życiu zastosowań wiary, że jeśliby już coś koniecznie opuścić było trzeba, to raczej możnaby opuścić duchowną naukę niż owo katolickie na zebraniach pouczenie. W rzeczywistości jednak nie trzeba opuszczać ani tego ani tego, bo tylko obie te rzeczy razem zdolne są zrobić sodalisa tem, czem ma być i całą psychikę jego odpowiednio wykształcić.

Inni znów innego chwytają się sposobu, żeby tylko jakoś wyminąć tę instruktywną część zebrania, która powinna być samem jego sercem. Mianowicie przeciągają lub bez potrzeby aż do tego stopnia mnożą punkty porządku dziennego tyczące czysto organizacyjnych spraw Sodalicji, że na właściwy wykład czasu już nie starczy. Że to znów jest źle, tego tłumaczyć nie potrzeba. Bo choć oczywiście potrzebne są pewne organizacyjne czy to komunikaty, czy nawet dyskusje (o przyjęciu nowych członków, o składkach, o sekcjach i ich pracach i t. p.), zważywszy że w Sodalicji ogromna większość tych rzeczy należy do samego Wydziału,

nie trzeba ogólnego zebrania takiemi kwestjami bez miary zajmować. To wszystko są rzeczy suche, przeważnie czysto formalne, nie wzbogacające umysłu ni serca, a przecież celem zebrań zupełnie pierwszorzędnym i niezastąpionym jest wkładania w dusze sodalisów rzeczywistych zasobów katolickich pojęć i sądów. Rzadki będzie wypadek, poza specjalnem zebraniem wyborczem, żeby na organizacyjne kwestje nie wystarczył pierwszy kwadrans. Cała reszta zebrania, t. j. przynajmniej jedna godzina powinna być poświęcona na pewnego rodzaju naukową pracę.

Co się jednak tyczy sposobu prowadzenia tej pracy, i tutaj można rozminąć się z właściwą drogą. Są tacy, co całe to dzieło rozwijania umysłów redukują do samego czytania. Metoda ta jest zupełnie nieodpowiednia. Nawet gdyby lektury były istotnie dobrze dobrane, same przez się nie spełnią nigdy przeznaczonego zebraniom zadania, a tembardziej, jeśli się je czerpie z rzeczy nie wiele wartych lub też skądinąd słuchaczom dobrze znanych albo przynajmniej łatwo dostępnych. Mimowoli podnosi się wtedy w duszy sodalisów, nawet najlepiej usposobionych, zarzut: Na cóż to wszystko? Przecież przeczytać coś potrafimy i sami! Jeżeli dzisiaj, nawet w elementarnej i średniej szkole, żąda się od nauczyciela takiej metody, żeby lekcja nie kończyła się na biernem słuchaniu, ale pobudzała, kierując nią, indywidualną współpracę uczniów, to oczywiście w tej daleko wyższej szkole, jaką jest sodalicyjne zebranie, w żaden sposób nie można ograniczać wykładu do samej lektury, ale trzeba koniecznie zachęcić do myślowego wysiłku samych uczestników. Bez tej współpracy absolutnie nie osiągnie się celu, bo jeśli samem słuchaniem nawet pamięci wzbogacić nie można, cóż dopiero mówić o nabraniu pojęć, sądów i zasad.

Nieodzownym warunkiem dobrego i pożytecznego przebiegu zebrania jest przedewszystkiem dokładne oznaczenie tematu. Jak w postępowej katechetyce i wogóle w dydaktyce zalecają, by każda godzina stanowiła sama dla siebie pewną »jednostkę metodyczną«, tak na każde zebranie powinno się zgóry przeznaczyć jeden temat nietylko ściśle określony, ale tak niejako zaokrąglony, żeby wyczerpywał o ile możności, daną jakąś kwestję.

Temat tak oznaczony powinien zawczasu być podany do wiadomości sodalisów, by mogli do jego przepracowania na zebraniu należycie się przygotować. Sam zaś sposób poprowadzenia zebrania może być kilkoraki.

Jeśli na opracowanie całego tematu przeznacza się jeden tylko referat, to powinien to już być referat doktrynalnie zupełnie pewny, a więc miany przez samego Moderatora, lub kogoś, na którego wiedzę całkiem bezpiecznie spuścić się

można. Godzinnej bowiem rozprawy nie można traktować jako próby, którą potem należałoby prostować. Dodać tylko można, że w każdym razie powinien pozostać czas na swobodną dyskusję i że bardziej jeszcze pożądanem byłoby, gdyby taki referat mógł być nie czytany ale wygłoszony żywem słowem. Nic bowiem tak nie ułatwia komunikacji ze słuchaczami, nic tych ostatnich tak nie pobudza do myślenia, jak żywe słowo, któremu odpowiedni gest i spojrzenie i intonacja głosu towarzyszą.

Niekiedy jednak lepszym jeszcze niż jeden referat sposobem jest naznaczenie zgóry trzech, czterech, aż do pięciu członków, którzyby tę samą rzecz opracowali, każdy w osobnym, na 8 lub 10 minut, krótkim referaciku. Jeśli tę rzecz zrobią, jak powinni, bez porozumienia wzajemnego, prawie zawsze bardzo korzystnie temat z wielu stron się oświetli, przez samo zestawienie wyjdą na jaw słabe lub mocne strony różnych poglądów, obudzi się zainteresowanie, a co najważniejsza, znajdzie się zazwyczaj obfity materjał, tak do reasumpcji przez kierującego zebraniem Moderatora, jak do dalszej wyczerpującej dyskusji.

Niepotrzeba dodawać, że ta dyskusja jest zawsze niezmiernie pożyteczną i wręcz konieczną dobrego zebrania częścią. Dopiero ona właściwie wyjaśnia pojęcia, ona niejako je szlifuje, ona gruntuje je w umyśle i od zarzutów zabezpiecza, ona wreszcie dopomaga do wyciągnięcia z nich praktycznych konkluzyj. Stąd to nietylko starożytna i średniowieczna szkoła tak ogromną rolę przypisywała myślowej szermierce, ale i najnowocześniejsza metoda wyższego nauczania coraz powszechniej do niej powraca. Jak drzewo tem mocniej się wkorzenia w ziemię, im bardziej wystawione jest na wiatry, tak pogląd jakiś na rzeczy dopiero wtedy zdoła zamienić się w niezłomne przekonanie, gdy umocni się w duszy przez śmiałe z innemi poglądami zapasy. A nie jest do pogardzenia i ta moralno-psychologiczna konsekwencja dobrze prowadzonej dyskusji, że wyrabia się przez nią pewna ciętość, przytomność umysłu, odwaga, słowem cała serja tych przymiotów, których brak sto lat temu wytykał Montalambert swym towarzyszom we wierze, kiedy ich nazywał *des poulets catholiques*. Mimo całej słodyczy i cichości Chrystusowej, trzeba umieć nieraz i zęby pokazać w obronie sprawy Bożej.

Rzecz zupełnie jasna, że do tak pojętego zebrania musi Moderator doskonale się przygotować, lepiej jeszcze może niż do nauki duchownej, którą ma mieć od ołtarza. Musi całą kwestję, o jaką chodzi opanować i odświeżyć sobie w pamięci; musi obmyśleć sobie główne momenty dyskusji; musi zadać sobie pracę takiego przygotowania pojęć i takiego ich

wykładu, by rzecz istotnie utkwiła w głowach i rzetelny pożytek przyniosła.

Że to kosztuje niemało pracy, to jest rzecz bardzo oczywista. Można jednak dla zachęty do tej pracy to powiedzieć, że, nie mówiąc już o wielkiem pożytku samego Moderatora, który przez ten wysiłek się uczy i uczy się uczyć, mało jest w tej chwili dzieł tak potrzebnych, jak to systematyczne na zebraniach rozwijanie i obrabianie katolickich pojęć. Sodalicja, w którejby to umiejętnie i konsekwentnie praktykowano, przerabiając np. po kolei ważniejsze partje etyki, socjologji, nauki o państwie, o rodzinie i t. d., taka Sodalicja zaznaczyłaby się wnet swem działaniem i odbijałaby od tego smutnego chaosu najelementarniejszych pojęć katolickich, który tak nieszczęśliwie cechuje nawet inteligentne warstwy naszego społeczeństwa. Narzekamy wszyscy i słusznie na brak uświadomienia katolickiego, starajmy się więc pracować nad jego rozszerzeniem. Że zaś lepszego środka do tego niema, jak dobrze prowadzone sodalicyjne zebranie, warto dołożyć wszelkich usiłowań, by wbrew wszystkim trudnościom wyzyskać złożone w niem siły.

Nauki i szkice

Przemowa noworoczna.

Najświętsze Imię Jezus.

»I nazwano Imię Jego: Jezus«.
Łuk. 2, 21.

1. Opowiadają Dzieje Apostolskie (3,1—8), że niedługo po zmartwychwstaniu P. Jezusa Piotr i Jakób wchodzili do świątyni jerozolimskiej na modlitwę przez tak zwaną Bramę ozdobną. Siadywał u tej bramy, przynoszony litościwemi rękoma, chromy od urodzenia. Zobaczywszy obu Apostołów, wyciągnął do nich ręce po jałmużnę. Zdjęty litością Piotr, rzekł doń: »Złota i srebra nie mam, lecz co mam, to ci dam: W imię Jezusa Chrystusa Nazareńskiego wstań, a chodź«. I ujął prawą jego rękę i podniósł go, a uleczony wszedł z nimi do świątyni, gdzie chwalił Boga i skakał z radości. Na widok tego cudu, zdziałanego w imię Jezusowe, nawróciło się wielu.

I tak przez wieki promieniuje Najśw. Imię Jezusowe. »Jako olej wylane imię twoje« — powiada Duch Św. (Pieśń 1, 2). A jak olej świeci, karmi, leczy — tak i imię Jezusowe — wykłada Bernard święty. Pierzchają ciemności pogaństwa, dusze karmią się prawdą Bożą, leczą się ze swych ran, a nawet ciała dźwigają się z niemocy. Cała nasza nadzieja tylko w imieniu Jezusowem, bo też »nie jest pod niebem inne imię dane ludziom, w którebyśmy mieli być zbawieni« (Dziej. ap. 4, 12), przestrzega nas Piotr św. *Per ipsum, et in ipso, et cum ipso* — Przez Niego, w Nim i z Nim« tylko odbiera należną chwałę Ojciec z Duchem Św., jak każe kapłanowi powtarzać Kościół w każdej Mszy św. On, jako »Bóg-Człowiek« stał się jedynym, a Bogu miłym łącznikiem, pośredni-

kiem, między światem widomym a niewidomym. Toteż Kościół zanosi wszystkie modły do Boga w Imię Jezusowe.

I słusznie. Boć wielkie to i potężne, a przez Boga samego nadane, Imię: »Bóg dał mu imię, czytamy u św. Pawła (Filip. 2, 9), które jest nad wszelakie imię, aby na imię Jezusowe klękało wszelkie kolano, niebieskich, ziemskich i podziemnych«. Imię potężne, ale i dobrze zasłużone: »Jezus« — znaczy »Zbawiciel«. On Zbawicielem całego świata, albowiem »uniżył się, stawszy się posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżowej«, nabył nas sobie »nie skazitelnemi dobrami, złotem albo srebrem, ale drogą krwią swoją« (I Piotra 1, 18), a zbawia i dzisiaj przez swą łaskę, przez swój Kościół, przez swe Sakramenta, przez swe wstawiennictwo za nami w niebie, gdzie zasiadł po prawicy Ojca *ad interpellandum pro nobis* — by się wstawiać za nami« (Żyd. 7, 25).

I ja noszę na mem czole, a więcej jeszcze na mej duszy, niezatartemi przez wieczność całą wypisane głoskami najświętsze Jezusowe Imię: »*Christianus sum* — Jestem chrześcijaninem«. Noszę też chwalebne Imię Jego najdroższej Matki: »*Sodalis Marianus sum* — Jestem Sodalisem, jestem Sodaliską«. Jedno i drugie noszę niezasłużenie. To nie fałszywa pokora, to prawda najszczersza. Daje mi takie świadectwo sumienie moje. A jednak, skoro z Bożej łaski, skoro z dobroci Marji noszę z radością te święte imiona, muszę się starać koniecznie o to, by je godnie nosić.

2. Jak tego dokażę? — *a) Muszę kochać, czcić, uwielbiać te święte Imiona.* Nie wstydzić się ich. To przecież chluba niezwykła być chrześcijaninem, dziecięciem Bożem, bratem Jezusowym, dziedzicem nieba, towarzyszem Aniołów i Świętych, — to przecież szczęście niezmierne móc wskazać, jak wielcy nasi przodkowie, na ryngraf Marji i oświadczyć: *Sodalis Marianus sum!* — Nie wystarcza jednak nie wstydzić się Imion Jezusa i Marji, — nie trzeba im także wstydu przynosić, by na nas nie wskazywano palcem i nie natrząsano się może: Oto Sodalis, oto Sodaliska!

b) Muszę bronić tych Imion najświętszych, jak ich bronił Konrad w III części Dziadów: »Tych mi Imion przy kielichach wara«. Trzeba ich bronić, jak kapral (tamże): »Trzeba wam wiedzieć, że mam patent Sodalisa, — I z powinności bro-

nię Marji imienia«. To nietylko nie zdziwiło towarzyszów broni, nietylko nie przyniosło mu hańby, ale gdy innych bluźnierców pozbawiono życia, jemu zostawiono w żołnierskiej czapce kartkę z napisem: »Vivat Polonus, unus defensor Mariae«. My gwardja przyboczna Jezusa i Marji. Musimy być gotowi iść w ogień za Jezusa i Marji sprawę. Liczy na nas Kościół św. Oby się na nikim z nas nie zawiódł!

c) Muszę szerzyć miłość tych najświętszych Imion — słowem, przykładem, modlitwą, dobrą literaturą, żeby rzeczywiście »było rozsławione Imię Jezusowe« (II Tes. 1, 12) w mej rodzinie, w mojem mieście, w mej Ojczyźnie, w świecie całym (przez misje). Nam, Sodalisom, nie wolno rąk opuszczać. Jak to słonko ciągle pracuje, choć je czasem zakrywają chmury, wznawia swą pracę osuszania, choć ją psują śniegi czy deszcze, tak i my pracować musimy nad duszami bliźnich, choć nas to bardzo boli, że tylu psuje pracę naszą.

Ból swój niebu trzeba zlecić,
A samemu wciąż, wytrwale,
Trzeba naprzód iść, i świecić! — Asnyk.

d) Musimy iść naprzód, ale w duchu nadprzyrodzonym, prawdziwie »w imię Jezusowe«. Tak nam radzi Apostoł, gdy pisze do Kolosan: »Wszystko, cokolwiek czynicie, w słowie lub uczynku, wszystko w imię Pana Jezusa Chrystusa czyńcie« (3, 17). W tem Imieniu zapewniona skuteczność naszym modlitwom, naszym Mszom św., naszym Komunjom św. za rodzinę, za Ojczyznę, za Kościół św.: »O cokolwiek prosić będziecie Ojca w Imię moje, da wam« (Jan 16, 23). On pobożnie wzywany, nie da nam zginąć. W tem Imieniu zapewnione nam powodzenie w pracy, według zapowiedzi Jezusa: »W imię moje czarty będą wyrzucać, nowemi językami mówić będą, węże brać będą, i choćby co śmiertelnego pili, szkodzić im nie będzie« (Mar. 16, 17). On nam udzieli daru wymowy, jakiegośmy nie podejrzewali w sobie, On nam da siły do oparcia się mężnego szatanowi i stronnikom jego, a choćby chciano nas usunąć, jako dobrych katolików, z zajmowanego stanowiska, choćby nam podano jakąkolwiek truciznę, On się o nas zatroszczy, intrygi ludzkie nic nam nie zaszkodzą. W tem Imieniu zapewnione nam ostateczne zwycięstwo: »Ufajcie, jam

zwyciężył świat« (Jan 16, 33). Nie darmo dane Mu Imię, które jest nad wszelkie imię. Pierwej, czy później na Imię Jezusowe musi się zgiąć wszelkie kolano potęg niebieskich, ziemskich i podziemnych, wszelki język wyznać musi, że »Jezus jest w chwale Ojca«, — a my z Nim. Tak, napewno, — jeśli, jak przystało na Sodalisów i Sodaliski, uniżymy się do Bożej i bliźniego służby, — jeśli będziemy posłuszni Bożym natchnieniom i przykazaniom, — jeśli dla Chrystusa i z Chrystusem choć trochę pocierpimy, a dużo popracujemy. Amen.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Ideał nieskazitelności duszy jako właściwy wyraz czci Sodalisa dla Niepokalanej. [1])

Krótkiem jest nasze życie, lecz nawet najmłodszemu Sodalisowi wystarczyło go już na tyle, by swoich rówieśników, przyjaciół, kolegów, starszych, przełożonych nawet, oceniać nie według ich zewnętrznych, wpadających w oko, wartości, nie według majątku, postawy, muskułów i kośćca, ale według umiłowań szlachetnych, które noszone głęboko w duszy, cechując ich postępowanie na każdym kroku, nadają ich życiu swoisty jakiś zapach cnoty i wzniosłości, czynią je czemś napół ziemskiem, napół niebieskiem. Gdyby tak nie było, gdyby te umiłowania nie stanowiły wymiernika ludzkiej wartości, doprawdy życie stałoby się ustawiczną udręką i katuszą, zamieniłoby się na coś, przeciw czemu z całej mocy buntowałoby się serce, na co zżymałby się najsłuszniej zdrowy ludzki rozsądek.

A jeżeli tak patrzymy na rzeczy nawet my ułomni, podlegający tysiącom pomyłek, biorący tak często marny szych za prawdziwe złoto, dający się brać na lep ułudnych haseł, obietnic, różanych horoskopów, to cóż dopiero powiedzieć o wybranych mieszkańcach nieba, których oko duszy wpatrzone w Prawdę Odwieczną Najświętszego Boga, niedostępne jest

1) Przemówienie wygłoszone na Akademji Marjańskiej Sodalisów, uczniów gimn. OO. Jezuitów w Wilnie.

nawet dla najlżejszego oparu fałszu i ułudy! Z jakąż miłością, z jakim zachwytem wypatrują oni z wysokości nieba każdy krok duszy, owianej ukochaniem tego, co wzniosłe, wielkie i wspaniałe, tego, co tchnie Bogiem, tym Bogiem, który jest ich całem szczęściem, całą rozkoszą, Bogiem, z którego mają cały ten bezmiar szczęścia, który się niebem nazywa. Jeżeli zaś to możemy powiedzieć o każdym mieszkańcu szczęśliwej krainy niebieskiej, to jakiemi słowami wyrazić co odczuwa dla dusz owianych miłością ku wielkim, szlachetnym ideałom Ta, która od Trójcy Przenajświętszej otrzymała wraz z pełnią łask, najwyższy, jaki dostępny jest istocie stworzonej, stopień światła rozumu i możność przenikania całej niepojętej głębi Bożej prawdy?

Wielkie, wzniosłe, szczytne ideały, toż to najdroższy dar, który na ten świat z nieba wysokiego przyniósł i Krwią Swoją przeobficie zrosił Jej Syn Przenajdroższy. Nazaret, ubożuchna Betlejemska stajenka, piaszczysta pustynia Synajska, słońcem spieczone drogi Palestyny, wreszcie wszystkie miejsca przebolesnej Jego Męki, to przecież etapy, na których ten Boski Jej Syn, kosztem tak wielu i tak ciężkich ofiar, wypracowywał mozolnie to wszystko, co świat dziś ideałami nazywa. Tam zrodziła się szlachetna miłość bliźniego, tam powstało współczucie dla nędzy i ludzkiej niedoli, tam śmiertelni wrogowie zaczęli być sobie serdecznymi braćmi, tam jednem słowem, człowiek zaczął zapominać o sobie, by móc stać się wszystkiem dla wszystkich. A do czegóż służą wszystkie ideały jeśli nie do oddania się wnętrznego służbie tych właśnie wielkich spraw, które Matce Najświętszej dlatego są tak drogie, że wszystkie one wzięły początek z Najsłodszego Serca boskiego Jej Syna?

Ideały jednak są różne, bo jak słusznie ktoś powiedział, każdy tworzy sobie bogów na miarę swego ducha; każdy ma takie umiłowania, na jakie go stać na podstawie własnego życia i prowadzenia siebie. Z drugiej strony znów tysiące różnorakich potrzeb powodują w duszach ludzkich rozwój tysięcy najróżnorodniejszych umiłowań i zamiłowań, stwarzają coraz to nowe ideały dla nowych pokoleń i epok.

Jeden wszakże ideał jest po wszystkie czasy i będzie na zawsze ideałem wspólnym wszystkim, a nawet rzec można jak

gdyby pomostem, po którym na płaszczyznę duszy przenikają powoli coraz wyższe, coraz szlachetniejsze zamiłowania. Tym ideałem to nieskazitelność duszy, nieskazitelność serca, nieskazitelność, jednem słowem, całego życia. Nie każdy może zakładać ideał naprzykład w pozyskaniu sławy wojennej, czy naukowej, nie każdy może uwiecznić się w pamięci pokoleń wielkiemi wiekopomnemi czynami, każdy jednak człowiek, czy wielki czy mały, sławny czy nieznany, uczony czy prostaczek, jeśli tylko pragnie zbudować w swej duszy świątynię rzetelnego ideału, może dokonać rzeczy wielkiej, bo może rzucić fundament pod każdy ideał, starając się wprowadzić nieskazitelność w całe swe życie, począwszy od najtajniejszych głębin swojej duszy. A taka jest moc niespożyta i potęga tego ideału, że zniszczyć jej nie potrafi żadna ziemska siła. Może przyjść śmierć, mogą walić w duszę gromy nieszczęść, może trzeszczeć w posadach i chwiać się cała ludzka przyjaźń, nic to; jeśli w duszy kwitnie i mężnieje ten ideał nieskazitelności, wszystko musi się skończyć szczęśliwie, bo przed tą mocą ustąpić musi wszelka moc na świecie. Historja zapisała ludzi spotwarzonych, splutych jadem nienawiści, wydanych na urągowisko i hańbę, kroniki wszystkich czasów piszą o ludziach krzywdzonych i poniżanych, a jednak jeśli to byli ludzie »czystych rąk i nieskazitelnego życia«, zawsze świadczą o ostatecznym ich triumfie.

I to jest naprawdę wielki, największy czyn na ziemi, bo w walce ducha z wieczystym, rzec można, oporem materji, największem zwycięstwem, jest zwycięstwo nad samym soba. A jeśli chodzi o nieskazitelność charakteru, to czyż osiąga się ona inaczej jak przez bój ustawiczny, którego treścią te właśnie zwycięstwa nad samym sobą, odnoszone raz po raz, od rana do wieczora, tak dnia jak życia?

Jak te zwycięstwa okupywać trzeba, za jaką cenę się je odnosi, Wy Sodalisi, co wiernie trwacie na straży sodalicyjnego honoru, Wy o tem umielibyście powiedzieć jak najlepiej i jak najwięcej. Mogą ludzie przed ołtarze Niepokalanej znosić kwiaty barwne, stopnie ołtarzy stroić we wzorzyste kobierce, jednak wszystkie dary w ofierze Marji składane, nie dorównają przenigdy cichej, nieznanej może ludziom, ofierze ideału nieskazitelności życia, niesionej z tej właśnie racji, że

się jest Sodalisem t. j. czcicielem Niepokalanej. Już te dwa słowa: Niepokalaność i nieskazitelność są sobie tak dziwnie pokrewne i tak podobne co do swojej treści! Jakże bliskiemi Marji muszą być serca i dusze tych, którzy starają się o nieskazitelność życia by znaleść się jak najbliżej Niepokalanej sodalicyjnej Pani.

Własne sumienie i głos całego Kościoła świadczą o tem zresztą wymownie, że ten rodzaj czci dla Boga i Matki Jego Najświętszej był i zawsze będzie czemś wprost bezcennem, bo z niego wywodzi się i bierze początek wszystko, co dla ludzi może przedstawiać jakąkolwiek rzetelną wartość i cenę. Nie ten bowiem wejdzie do Królestwa niebieskiego, kto mówi »Panie, Panie«, ale ten, kto pełni wolę Ojca, który jest w niebiesiech. A ta wola, czy wreszcie czego innego od nas żąda, jak nieskazitelności życia? Czy nie w tem mieści się wszelka wartość człowieka, mężczyzny, młodzieńca przedewszystkiem, który do uroku młodych swych lat musi umieć dodać urok cnoty prawdziwej? O tak! W tem istotna wielkość i chwała. Dlatego to, streszczając wszystko cośmy powiedzieli, musimy znów powtórzyć, że najwspanialszym hołdem Sodalisa dla Niepokalanej, najmilszą Jej Sercu ofiarą będzie zawsze i wszędzie usilne staranie, by nieskazitelnością życia, nieskazitelnością rąk, nieskazitelnością charakteru godnie trwać w przesławnej gwardji Niepokalanej i mężnie walczyć o sprawę Jej Syna. To sobie jako ideał założmy, do tego dążmy, to z łaską Bożą osiągajmy, a dodamy sztandarowi sodalicyjnemu, a przedewszystkiem duszom naszym nowego blasku chwały.

Ks. Stanisław Mirek T. J.

Ofiara w życiu Sodaliski-Nauczycielki.

Na świecie wszystko, co wielkie, wznosi się kosztem ofiary. Kamień, aby zeń wyłoniła się wspaniała statua, musi poddać się naciskowi dłuta; gdyby miał czucie, musiałby boleć i jęczeć, kiedy artysta wydobywa zeń przecudne kształty.

Ziarno. aby strzelić kłosem i stokrotnie się pomnożyć,

musi pójść do ziemi i obumrzeć i oddać swoje soki i swoją miazgę na rzecz nowego życia.

Tak samo w świecie ludzkim; nic wielkiego nie dzieje się bez ofiary; ileż to istnień ludzkich pochłonęło i pochłania choćby podbicie powietrza; muszą ginąć jedni, ofiarując to, co mają najdroższego, swoje istnienie, swoje życie, aby następne pokolenia miały idealną komunikację.

W nocy, z dnia 7-go na 8-go sierpnia 1926 r. zakończył swój żywot dr. Maxime Menard, dyrektor kliniki radjologicznej w paryskim szpitalu im. Cochina. O jednym z największych bohaterów naszych czasów nie będzie głośno na świecie. Bowiem nie odznaczał się niczem na targowisku politycznem, nic nie robił dla reklamy, żadnej nie budził senzacji wśród szerokiej publiczności. Imię dra Menarda nigdy może nie osiągnie zasłużonej sławy, a już napewno zakasują go rozgłosem rozmaici wojacy, aktorzy, literaci, sportowcy. Jako lekarz-rentgenolog doskonalił on swą metodę leczenia przez ustawiczne prace laboratoryjne, nie zwracając uwagi na żadne niebezpieczeństwa. A wiadomo czem grożą organizmowi badania rentgenologiczne. Już w r. 1910 drowi Menardowi amputowano pierwszy palec. W latach następnych, niemal każdego roku, traci dalsze. Kiedy ku przerażeniu asystentów i uczniów, w r. 1919 amputowano mu ostatnie palce, oświadcza, że nie chce już myśleć o powstrzymaniu rozwoju choroby, która tak głęboko wżarła się w jego organizm. Prace badawcze będzie prowadził nadal ku pożytkowi ludzkości; przekonał się bowiem, że drogą takiej ofiary osiągnąć można wielkie wyniki i ulepszoną przez te badania metodą leczniczą przynieść ulgę w cierpieniach człowieka, związanych z różnemi chorabami.

Od r. 1919 organizm dra Menarda zaczyna się poprostu rozkładać. Amputacji ulegają wargi, potem uszy, potem policzki. W r. 1925 usunięto mu lewe oko. Od tej chwili cały rok spędza w ciemnym pokoju. Lecz i tu pracuje, śledząc rozwój swej choroby i notując najdrobniejsze jej objawy. Cierpi przytem straszliwie, ale panuje nad bólem siłą ducha nadludzką. Mówił do przyjaciół, że i z tych jego cierpień korzyść wyniknie dla ludzi. bo dokładna obserwacja choroby wzbogaci medycynę. W końcu całe ciało Menarda staje się jedną krwawiącą raną.

Usuńmy ze świata ofiarę, zostawmy tylko zabawę, a co mieć będziemy?

Niech matka nie zechce ponosić ofiary dla swojego potomstwa, niech uczony profesor nie ponosi ofiary ze swego zdrowia i życia na rzecz naukowych badań, niech technik nie ryzykuje swego istnienia na rzecz niebezpiecznych eksperymentów, niech patrjota nie oddaje swej siły na rzecz ojczyzny — cofniemy się w jakieś stare czasy barbarzyństwa, a wnet i ludzkość przestanie istnieć.

Ofiarą stoi życie ludzkości, rozwój społeczeństw, rozwój kultury, ofiara stwarza wielkie dzieła. Taki porządek panuje w świecie przyrodzonym. Nie inny porządek obrał Bóg i w świecie nadprzyrodzonym.

Ofiarą dopełnił Jezus Chrystus najwspanialszego i najbliżej nas obchodzącego dzieła Odkupienia.

Ofiarą swej męczeńskiej krwi Apostołowie utorowali drogę do zwycięstwa chrystjanizmu.

Ofiarą, potrójnem skrępowaniem przez ślub ubóstwa, czystości i posłuszeństwa wzniosły się wspaniałe instytucje w Kościele katolickim, czyli zakony, które porozdzielały między siebie pracę nad utwierdzeniem Królestwa Chrystusowego na ziemi.

Z heroicznej ofiary wytrysły te przecudne kwiaty w Kościele katolickim — Święci Pańscy.

Ofiarą stoi też Sodalicja. Jeśli przyjmiemy ten fakt, że celem Sodalicji jest wyrabianie elity katolickiej, że jest nowicjatem, w którem zaprawiać się mają do życia prawdziwie chrześcijańskiego osoby świeckie, by nieść kulturę katolicką w swoje otoczenie, musimy równocześnie przyjąć, że tego rodzaju nowicjat kosztuje bardzo dużo; przetwarzanie ludzi świeckich, ludzi o zapatrywaniach czysto doczesnych, niewybiegających myślą poza ciasne koółko swoich osobistych wygód, kierujących się odruchami swej natury zwierzęcej, na prawdziwych naśladowców Chrystusa, który powiedział: »kto za mną chce pójść niech zaprze samego siebie, niech weźmie na ramiona krzyż swój i idzie za mną« — takie przetwarzanie człowieka, powiadam, nie może się obejść bez ofiary.

I dlatego, my Sodaliski, musimy się głęboko przejąć tą myślą na początku roku szkolnego, że ofiara jest pierwszym

naszym postulatem, że bez ofiary niczego wielkiego nie dokonamy ani w sobie, ani dla drugich.

Ofiary domaga się naprzód nasz zawód nauczycielski. Wglądnijmy w nasze życie codzienne. Ileż to razy stajecie przed tą alternatywą: pójść na spacer z koleżanką, przepędzić mile czas na pogwarce o tem i o owem, zabawić się, wyśmiać czy też przygotować sumiennie na lekcję. Wiele pań nie zastanawia się może nad tem pytaniem i kiedy się nasunie możliwość zabawy, bez najmniejszego skrupułu odda się jej... a szkoła? W szkole i tak jakoś pójść musi.

Weźmy samą lekcję. Ileż to razy lekcja prowadzona jest pod natchnieniem złego humoru Pani Profesorki! A przecież na lekcji ja muszę zapomnieć o sobie, o swojem ja. Przecież za katedrą nie występuje jako N. N., dzieci może nawet nie wiedzą jak ja się nazywam, ale występuję tylko jako wychowawczyni, mająca w młodzież wpoić pewne zasady, dać im pewną naukę; a więc moje osobiste dysputy, fochy, humory nie mogą tu grać żadnej roli. Takie zaś poświęcenie swoich osobistych upodobań czy uraz, usunięcie ich na bok, oddanie się w tym przynajmniej czasie wychowaniu i nauczaniu, wymaga ofiary.

Wezmę moje obowiązki jako Sodaliski: moje życie wewnętrzne. Mam być katoliczką wzorową nietylko na zewnątrz ale i wewnątrz. Tymczasem gdy wglądnę w siebie widzę wprost przepaść między świętością a mojem postępowaniem. Trzebaby się wziąć w ryzy; opanować tak, aby nie popełniać świadomego grzechu ciężkiego, a z mniejszych uchybień przez rachunek sumienia szczegółowy, przez ustawiczną czujność usuwać jedno za drugiem.

Tak, ale taka praca systematyczna, taka ustawiczna czujność wymaga wprost heroicznej ofiary.

Wezmę moje obowiązki sodalicyjne zewnętrzne. Miesięczną spowiedź, jedną przynajmniej i Komunję św. — Ile wymówek się znajdzie, żeby ją opuścić; zwłaszcza, jeśli się zakorzenił jakiś nałóg. Moje wyrobione, wyszlachetnione przez dotychczasową pracę sumienie mówi mi: wyspowiadaj się, a zakorzeniający się nałóg krzyczy: nie ruszaj mię, bezemnie się nie obejdziesz, ja ci uprzyjemnię życie, bezemnie twoje życie straci urok. Jakiego szamotania się potrzeba, aby wyszarpnąć

z siebie złą skłonność? I chociaż w oczach robi się ciemno i życie przedstawia się jak rozdarta krwawiąca rana, ja muszę to postanowienie wykonać! Jaka ofiara!

Żeby przyjechać na zebranie, żeby wysłuchać cichych szeptów i chichotów kolegów i koleżanek na temat wzorowej Sodaliski, żeby odeprzeć urągliwe wejrzenie okiem jasnem i pogodnem, żeby na samem zebraniu nie zrażać się niczem, a szukać jedynie korzyści dla swej duszy — ile ofiar? im drobniejsze, im, zdaje się, łatwiejsze do usunięcia, tem przykrzejsze!

Ale bez ofiary niczego nie dokonamy! Ofiarą jednostek stoi świat, ludzkość, naród, kultura, postęp. — Ofiarą stoi Kościół. — Ofiarą stoi Sodalicja.

A moja ofiara? Moją ofiarą, związaną z zawodem nauczycielskim, przyczyniam się do dobra ogólnego, kultury, postępu w narodzie.

Są ofiary wspólne, masowe, które działają swoją, że tak się wyrażę, gromadnością. Żołnierz, który idzie na front i ofiaruje swoje życie, ze swoją ofiarą niknie pośród tysięcy, ale tysiące takich zespoleńców, gotowych dla obrony ojczyzny na wszystko, dokazuje cudów i ratuje ojczyznę.

Lotnik, który ryzykuje swoje życie, niknie wobec setek jemu podobnych, ale te setki udoskonalają technikę.

Jedna nauczycielka ofiarna i gorliwa niknie wobec tysięcy innych, ale niech się znajdą setki jej podobnych a wychowają pokolenie najzdolniejszych ludzi.

Ofiara czyni człowieka samoistnym, uświadamia mu jego godność. Ci, co nie są zdolni do ofiary, nie są zdolni być ludźmi. Człowiek, który idzie ślepo dokąd go ciągną jego skłonności, nie jest świadom swej potęgi ducha, jest dzieckiem. Dopiero ten, co umie zdobyć się na opanowanie siebie, na ofiarę, przekonywa się czem jest, przekonywa się, że jest bytem samodzielnym, który może przeciwstawić się i sobie i drugim.

A moja ofiara wobec i dla Boga?

Takie ofiary czynią ludzi świętymi. Bo cóż to jest świętość? To łaska poświęcająca i ta dążność, aby być z Bogiem, aby zapomnieć o sobie a szukać we wszystkiem woli Boga. Duch ofiary wyrywa taką duszę z objęć ziemi, a rzuca ją

w objęcia Boga. To są te postacie, które właśnie mocą swej ofiary wzniosły się ponad ludzkość i stanęły na ołtarzach.

Do tych wielkich, do tych jasnych postaci niech nas Bóg upodabnia, a wtedy będziemy istotnie tą elitą duchową, jaką chce być Sodalicja, będziemy, jak sól ziemi, chronić społeczeństwo od zepsucia i zamieniać je w królestwo Boże. Amen.

Ks. Józef Godaczewski T. J.

Codzienna cześć sodalicyjnej Pani.

„Omni die dic Mariae mea laudes anima“.

W drugiej połowie zeszłego stulecia Japonja poraz wtóry otwarła kapłanowi katolickiemu swe bramy. Dwa wieki minęły od śmierci męczeńskiej ostatniego tam misjonarza, zanim nowy zdołał utorować sobie drogę. A jednak mimo tak ogromnie długiego czasu, który dla garstki nawróconych przez św. Franciszka Ksawerego Japończyków był doprawdy życiem na puszczy, bez Boskiego Chleba, bez Ofiary, bez kapłana, wiara katolicka wśród nich nie zamarła.

Z dziada, pradziada podawano sobie trzy znaki, po których mieli potomkowie pierwszych wyznawców poznać powracającego Chrystusowego kapłana. Jeden z tych znaków odnosił się do osoby samego misjonarza, dwa inne do jego nauki.

Gdy pierwszy z nich — bezżeństwo — mieszkańcy okolic Nangasaki sprawdzili u przybyłego w ich strony nieznanego apostoła, proszą go potajemnie, by wszedł do jednego ich domu. Wchodzi, prowadzą go do pokoju, przybranego jak kaplica, w której wiszą 2 obrazy. Pokazują mu pierwszy — to obraz Matki Boskiej, objaśnia misjonarz wpatrując się uradowany w znajomy wizerunek. Wskazują mu drugi — biskup z tiarą na głowie — to papież, mówił im dalej bez wahania, papież, który przeze mnie przesyła wam swe błogosławieństwo. — Ten więc jest, któregośmy czekali, taka była odpowiedź synów męczenników.

Cześć Matki Najśw. i uznanie papieża jako zastępcy Chrystusa — to dwa znamiona nauki katolickiej, dwie cechy chrze-

ścijanina-katolika, różniące go od wszystkich braci zbłąkanych, dwie twierdze, broniące depozytu naszej św. wiary.

Jeśli więc słusznie każdy prawy syn Kościoła nabożeństwem do Matki Najśw. szczególnie odznaczać się winien, to cóż powiedzieć o Sodalisach, którzy najosobliwiej zapisali się w jej służbę. Sodalicja, kochani moi bracia, o tyle jest Sodalicją, o ile jest do szpiku kości Marjańską; o tyle żyje i rośnie, o ile cześć Niepokalanej Panienki jest najgłębszą jej treścią i duszą...

Lecz czyżbym chciał, drodzy Sodalisi, przekonywać was dzisiaj o konieczności czci Matki Najśw., was, których nie co innego, jeno miłość i gorące nabożeństwo do Marji przyprowadziło w te progi? Nie! nie chcę, nie mogę przypominać wam tego miłego obowiązku! Słusznie żywilibyście do mnie urazę i czuli żal, gdybym wątpił w waszą cześć dla Niepokalanej. Trudno Jej nie kochać, kiedy nawet jeden z największych współczesnych bluźnierców (Renan), gdy ujrzał statuę Matki Najśw. na zamku ateńskim zapisał w swych notatkach te znamienne słowa: »W świątyniach mojej ojczyzny Bretanji rozbrzmiewają śpiewy »Bądź pozdrowiona Królowo, Gwiazdo morza. Matko tych, co jęczą na tym łez padole«... Ilekroć te strony wspominam, topnieje mi serce; doprawdy dużo walki i przezwyciężenia trzeba, bym szedł dalej drogą jaką obrałem«. (Cyt. »Miesięcznik Katechetyczny« rocznik 13, zesz. 8—10, str. 163).

Czcić Matkę Najśw. chcę, ale jak?

»Omni die dic Mariae mea laudes anima«.

Jak człowiek składa się z duszy i ciała, a dusza jest, która kieruje, ożywia, tak i czynności człowieka złożone są jakby z dwu elementów, z których jeden pochodzi od ducha, drugi od ciała. I cześć Marji Niepokalanej, jeśli ma być harmonijną, nie może zamknąć się tylko we wnętrzu, albo znowu ograniczyć jedynie do zewnętrznych praktyk; *anima* — dusza winna je ożywiać.

Cóż to znaczy czcić? To poznać i uznać z poddaniem się, cześć, to uznanie poznanej wielkości. — A więc p o z n a ć przedewszystkiem. Zarzućmy historję i literaturę, a przestaniemy czuć się Polakami. Tak jest i ze czcią i kultem naszej Pani Niebieskiej. Rozwijać w sobie poznanie godności i wielkości Matki Boskiej, to utrzymywać w sobie źródło Jej czci. Będzie

to zatem lektura, od czasu do czasu przeczytana książka o Matce Najśw., zastanowienie się w wolnym czasie i rozważenie Jej przywilejów.

Lecz wielkość Marji nie jest oderwaną; ona łączy się ściśle z całą religją Chrystusową, bo Marja jest niejako wmurowana w gmach naszej wiary św. Toteż dopiero w całości tej budowli poznajemy, czem jest Niepokalana. Pogłębiać zatem w sobie znajomość religji naszej św., to gruntować się w nabożeństwie do Matki Najśw., bo pobożność nie oparta na prawdzie staje się szybko chorobliwą czułostkowością.

Czcić, to powtóre poznaną wielkość uznać. A tem uznaniem jest i to pozdrowienie anielskie, jakie odmawiamy po wiele razy na dzień, głównie w naszym pacierzu porannym i wieczornym; uznaniem jest zwracanie się do Niej o pomoc we wszystkich tak osobistych, jak rodziny, ojczyzny, Kościoła, potrzebach; uznaniem jest wreszcie ta ufność, która upatruje w Niej najpewniejszą zawsze Orędowniczkę i Pośredniczkę. W strapieniach, troskach i biedach wszelakich klękać przed Jej obrazem w domu czy kościele, by wypowiedzieć wszystko, co nas boli, to znaczy uznać w Marji Pocieszycielkę w każdej niedoli.

Ale najwyższym wyrazem czci jest miłość. Chociaż bowiem w stosunku do ludzi można czcić kogoś nie zawsze go kochając, to w nabożeństwie do Matki Najśw. czcić i miłować to jednoznaczne słowa, bo ona jest najlepszą naszą matką. A miłości któż może określić, jak się ma nazewnątrz wyrazić? Ona zbyt przemyślna. — Lecz jeśli jest prawdziwą, dąży przedewszystkiem do upodobnienia się i przypodobania umiłowanej osobie. *Amicitia aut pares facit, aut invenit* — mawiali już starzy Rzymianie. A czemże ja się mogę upodobnić do Matki Najśw.? Ta, która starła głowę węża, w której nie masz skazy, kocha się przedewszystkiem w czystości. Oto, czem mogę zbliżyć się do Matki Najśw.: dążyć do zachowania i pomnożenia w sobie łaski poświęcającej, by stać się w ten sposób przyjacielem serdecznym i wiernym sługą najdroższego Jej Syna. A jeśli potrafję przyczynić się do tego, by i koledzy nie obrażali Boga, jeśli zdołam przerywać lub na inne tory sprowadzać złe rozmowy, odwodzić ich od złego, zachęcać, gdy się nadarzy ku temu sposobność, do czynów szlachetnych i pięknych,

to naprawdę będę mógł powiedzieć, że kocham Marję głęboko i praktycznie.

Nie zawsze jest po temu sposobność, prawda, ale *omni die* można ofiarować Matce Najśw. ponadto drobną przysługę modlitwy, czy koronkę, czy godzinki, czy inne bodaj westchnienie.

Kiedy zaś nadchodzą święta Matki Bożej, które były dla Stanisławów, Kazimierzów, Berchmansów najmilszym dniem Imienin, Matki, przygotowujmy się do nich nowenną, odmówieniem sobie w wigilję jakiejś godziwej skądinąd przyjemności lub spełnieniem dobrego uczynku.

Czyż wasze szlachetne serca, drodzy Sodalisi, nie dyktują wam podobnych sposobów czci Niepokalanej Marji?

Umierającego św. Jana Berchmansa pytał jeden z jego braci zakonnych, a raczej prosił go, by mu powiedział, jaka z oznak czci Matki Najśw. jest Jej najmilszą i zarazem najskuteczniejszą, by pozyskać pomoc i opiekę tej dobrej Matki? Otrzymał odpowiedź godną zastanowienia: *Quidquid minimum, dummodo sit constans.* Jak prawdziwa to zasada czci Niepokalanej Panienki, jak istotnie podaje sekret wkupienia się w łaski u Królowej Niebios, świadczą szeregi wypadków, o których może nieraz słyszeliście. Jedno »Zdrowaś« czy »Pod Twoją obronę«, odmawiane codziennie, często dlatego jedynie, by dochować przyrzeczenia, złożonego konającej matce, przez ludzi, którzy w zawierusze życia utracili wiarę, przywracało im nieraz życie łaski i jednało przed śmiercią z Bogiem. A jakżeż dopiero oceni to Serce Matczyne, jeśli ta codzienna koronka, czy maleńkie umartwienie się wypłynie z serca kochającego Marję?...

Tak! Matko Najśw., przyrzekam Ci, że nie minie dzień w mojem życiu, w którymbym Ci nie okazał czemś bodaj najmniejszem, że Cię chcę czcić i kochać. Niech to będzie moją zasadą, niech to będzie mojem najdroższem przedsięwzięciem: *Omni die dic Mariae mea laudes anima!* Amen.

Ks. Edward Bulanda T. J.

Drukarnia »Przeglądu Powszechnego«.